

PRZEKRÓJ
 31-012 KRAKÓW
 ul. Reformacka 3
16 16-04-2000



Tydzień

W KULTURZE

Od dawna nie zdarzyło mi się uczestniczyć w spektaklu. Ten sposób bycia razem z twórcami przedstawienia zdarza się nieczęsto. Jest wielkim świętem. Radość oglądania i słuchania kreuje wtedy seans wspólnoty – widzów i aktorów. Bywa i tak, że zyskuje on moc terapeutyczną. Oczyszcza. Wyzwala emocje i doznania. Pomaga zrozumieć ludzką kondycję. Stwarza okazję, by spojrzeć na siebie, w głąb swojej psychiki i spróbować wyjaśnić jakże często bolesne kłopoty z istnieniem. Teatralne seanse wspólnoty powstają zazwyczaj, gdy mądrze i wnikliwie czyta się wielką literaturę. To żmudne, ogromnie pracochłonne zajęcie – i jakby niemożliwe we współczesnym teatrze.

Ułożyłem te zdania pod wrażeniem spektaklu „Czekając na Godota” Becketta – Tarnowskiego Teatru im. Ludwika Solskiego. Uczestniczyłem w nim podczas Krakowskich Reminiscencji Teatralnych. Siedziałem pośród



„Czekając na Godota” Becketta w Tarnowskim Teatrze im. L. Solskiego. Reżyseria: Stanisław Świder. Scenografia: Krystyna Kuźnińska. Od lewej: Marek Kępiński (Estragon), Dawid Złobiński (Lucky / Chłopiec), Jan Manciewicz (Vladimir), Zbigniew Kłopotki (Pozzo)

młodej publiczności, która wręcz łapczywie chłonięła Beckettowską wiwisekcję kondycji ludzkiej. Znaczonej nędzą, cierpieniem, rozpaczą, ale też gorzką nadzieją, uosobioną w oczekiwaniu na kogoś, kto wyjaśni nam prawdę o świecie i objawi tajemnicę egzystencji, sens życia, z całym bagażem udręczenia wpisanym w los człowieka. Nie piszę na tym miejscu recenzji. Swoje zaurczenie tarnowskim Beckettem chciałbym spo-

żytkować do wyrażenia kilku uwag o sposobie funkcjonowania naszych scen po 1989 roku – i o praktykach reżyserskich, które unicestwiają teatr literacki. Bo tym określeniem, brzmiącym dla wielu wręcz pejoratywnie, nazwałbym dzieło tarnowskich twórców.

Stanisław Świder, dyrektor teatru i reżyser „Czekając na Godota” z benedyktyńską pracowitością i cierpliwością starał się ze swoimi aktorami inteligentnie p r z e c z y t a ć tekst autora „Końcówki”. Jest on bardzo trudny i niełatwo poddaje się interpretacji. Mnóstwo w nim tajemnic, zaszyfrowanych znaczeń, biblijnych aluzji i licznych odwołań do tradycji literackiej. Ten porażający w swoim oglądzie świata dwudziestowieczny dramat został wyprowadzony z tragedii antycznej i dlatego tak ważne jest w nim słowo pisarza. Stanisław Świder zajął się przede wszystkim pracą z aktorami. To oni, a nie ekspansywne pomysły inscenizacyjne, najsukuteczniej obsługują Beckettowską dramaturgię. A ukryta reżyseria pozwala obcować z błyskotliwą dysertacją filozoficzną pisarza, rozpisaną po mistrzowsku na dialogi i sytuacje, w których każdy, najdrobniejszy nawet gest i ruch coś znaczy. Tak czytany Beckett fascynuje i zmusza do myślenia. A spektakl może trwać dwie godziny i dwadzieścia minut, i nie wywołuje uczucia znudzenia.

Dlaczego na scenach o wiele bogatszych w środki finansowe i zasób sił aktorskich z rzadka powstają takie spektakle? Odpowiedź jest niby prosta. Bo zapełnia je teraz publiczność dość przypadkowa. Najczęściej w poszukiwaniu rozrywki. I zamiast zdobywać tę o określonych gustach i potrzebach – teatry rywalizują ze sobą w piętrzeniu atrakcyjności spektakli bez większego sensu. Szczególnie tzw. reżyserzy-wizjonerzy majstrują z uporem wystawne obrazy sceniczne. Puste treściowo jak wydmuszki. Stosując filmową technikę skrótu i montażu, przedstawiają z uporem na scenie jakieś ścinki ze sztuk, boleśnie okaleczonych i stłamszonych obrazową gadatliwością, która niweczy dzieło pisarza. To bardzo przykre, ale nazbyt wielu reżyserów, zwłaszcza młodego pokolenia, usiłuje zapomnieć, że siłą teatru jest jego odrębność budowana na umiejętnym i odkrywczym czytaniu dobrej literatury.

MARIAN SIENKIEWICZ